

Armand spostrzegł, że kiedy odwiedza starych ludzi, bardziej niż z pomocy cieszą się z tego, że przyszedł. Zaczął im przynosić siebie, dawać poczucie, że nie są sami. „Kwiaty przed chlebem” — pomyślał i uczynił z tego hasło.

Być blisko, na dotyk

ANDRZEJ NIZIOŁEK

Aleksandra Szenic nigdy nie była sama. Miała siedmioro rodzeństwa. W Korzkwach, rodzinnym majątku, bywało wielu gości, była służba, konie, psy... Potem kierowała pensjonatem Anieli Chłapowskiej w Poznaniu, po wojnie zaś pracowała w aptece i, już na emeryturze, opiekowała się starymi ludźmi. Chodziła z nimi na spacer, odgrzewała obiady, pomagała, rozmawiała, była.

Nie założyła własnej rodziny. Po prostu miała ją — dużą, rozgałęzioną. I ma ją nadal, ale dziś ma też 95 lat.

Nie choruje, z mieszkania przy ulicy Dolna Wilcza wychodzi jednak rzadko. Już nie te siły. Jej pokolenia już nie ma, a młodszy, choć pamiętają, piszą, telefonują, zaglądają — mają własne, pełne zajęć życie. Jak wszyscy dzisiaj. Często za to zapuka starszy sąsiad. Przyniesie zakupy, pomoże, porozmawia. Sąsiad jest ze starych mieszkańców domu, młodzi, których w klatce schodowej jest już większość, żyją obok. Anonimowi — nawet tabliczki z nazwiskiem nie wywieszają na drzwiach. — Boją się? — dziwi się pani Aleksandra.

Siedzimy w jej małym mieszkaniu przy okrągłym stole i rozmawiamy. Jest ciasno od nagromadzonych rzeczy i przytulne. Widzimy się po raz

pierwszy. Pani Aleksandra cały czas trzyma mnie za rękę, głaszcze ją. Nie może się powstrzymać i dotyka mojej twarzy. Oczy jej promienieją. Jej dłoń jest ciepła. Szuka mojego ciepła.

Najgorsze nie są skromne warunki — ma 700 zł emerytury — ani starość z jej głuchotą i niezdolnością, wciąż narastającą utratą sił. W Aleksandrze Szenic nie ma gorczy, obolałej pamięci czy żalu za życiem, które nie było takie, o jakim marzyła młoda dziewczyna. Jest w niej samotny człowiek. Człowiek, który nie potrafi, nie może, nie umie być sam.

Kwiaty

Pani Aleksandra jest najstarszym członkiem poznańskiego oddziału Stowarzyszenia „mali bracia Ubogich”. Właśnie tak pisanego: dwiema małymi literami i jedną dużą. Wielką — żeby było ją widać, żeby zwracała uwagę.

Les petits frères des Pauvres. Tak brzmi nazwa stowarzyszenia w języku francuskim. O jego początkach czyta się, mając trochę wrażenie, że to legenda o świeckim świętym.

Był kiedyś młody hrabia Armand Marquiset. Nieprzesadnie bogaty i bardzo wrażliwy. Po II wojnie światowej hrabia zobaczył na ulicach dużo biedy. Rzucali się w oczy zwłaszcza ludzie starzy i samotni. Marquiset przeżył szok. Skrzyknął ludzi podobnie czujących i w 1946 roku założyli stowarzyszenie. Wpierw rozdawali ciepłe posiłki, żywność, ubrania, lekarstwa, węgiel... Armand spostrzegł jednak, że kiedy odwiedza tych starych ludzi, oni bardziej niż z pomocy cieszą się z tego, że przyszedł. Przystał więc zdobywać i przynosić im rzeczy. Zaczął im przynosić siebie. Pamięć o ich sprawach, radość i smutek z nimi przeżywany... Zaczął im dawać poczucie, że nie są sami. „Kwiaty przed chlebem” — pomyślał i uczynił z tego hasło. Zaczął urządzać Wigilie dla starych i samotnych ludzi i naprawdę, jako znak, rozdawać podczas nich kwiaty. Ideami stowarzyszenia stały się: braterstwo, poszukiwanie godności człowieka i wartości życia, niesienie pomocy ludziom starszym i samotnym. W 1950 roku Armand Marquiset przystosowuje swój rodzinny dom w Montgichet pod Paryżem do goszczenia wielu ludzi i po raz pierwszy zaprasza ubogich przyjaciół na wakacje.

Stowarzyszenie les petits frères des Pauvres ma dziś dwadzieścia takich wakacyjnych domów w całej Francji. Jest w czołówce francuskich pozarządowych organizacji społecznych. Działa też w kilkunastu krajach na świecie; m.in. w Maroku i USA, Irlandii i Meksyku, Kanadzie i Hiszpanii. Zmieniło się tylko jedno: w bogatych krajach Zachodu ludzie starzy nie są już ubodzy. Są za to coraz bardziej samotni.

Kłopot w tym, że młodzi Francuzi nie są zainteresowani starymi ludźmi. Nie czują potrzeby wolontariatu dla nich. Więc pokoleniowa się rwie. I stowarzyszenie rokrocznie podczas wakacji zaprasza setki ochotników z różnych krajów, by móc realizować swoje statutowe cele. Wielu z nich w latach 90. zaczęło przyjeżdżać z Polski. Wrażliwi młodzi ludzie, otwarci i chętni do pomocy. Praca wolontariusza pozwalała im poduczyć się języka i spędzić wakacje w atrakcyjnym kraju. Rok później wracali, bo spodobało im się to zajęcie.

Elżbieta

Pani Ela wracała od męża, z cmentarza. Szła alejką i nagle poczuła, że dłużej nie jest już w stanie tak egzystować. Odwróciła się do młodej kobiety, która szła za nią, i powiedziała: — Jestem sama. Nie mam po co wracać do domu.

— Nie musi pani być sama — odpowiedziała tamta. — Jest taka organizacja, która pomaga samotnym. Proszę przyjść.

Kim była ta młoda kobieta, do dziś nie udało się pani Eli ustalić. Zapewne jakaś wolontariuszka. Elżbieta przyszła z sercem na ramieniu, spięta, nieufna, cała w czerni. Spotkała Agnieszkę Antczak pracującą w stowarzyszeniu na jedną czwartą etatu. Bardzo serdeczna, wzbudziła jej zaufanie. Był maj. Zaczęła chodzić na spotkania. We wrześniu pojechała z grupą na wakacje do Francji. Było wspaniale. Podczas którejś wycieczki nagle stanęła pośrodku drogi i zaczęła płakać. Szlochała, nawet nie próbując się powstrzymać. „Pani Elu, pani Elu, co się stało” — wołali wolontariusze i zaniepokojone koleżanki z grupy. — A ja płakałam z radości — wyznaje. — Byłam pielęgniarką, opiekowałam się chorymi starymi ludźmi, ale nie wyobrażałam sobie, ile serca potrzebuje i ile może go dostać stary człowiek.

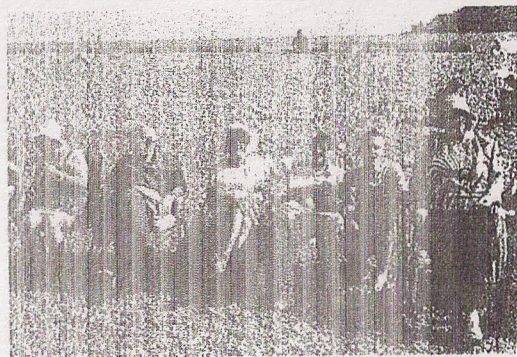
Stowarzyszenie

Na początku było ich kilkudziesięciu — wolontariuszy z Poznania, Warszawy i Lublina. W większości studentów, którym władze francuskiego Les petits frères des Pauvres zaproponowały utworzenie w swoich miastach polskich oddziałów stowarzyszenia. Każdy z nich ma swój zarząd — wybierany co roku spośród wolontariuszy — członków stowarzyszenia — ale strategiczne decyzje zapadają w Warszawie, gdzie mieści się ogólnopolski zarząd Stowarzyszenia „mali bracia Ubogich”. W Poznaniu wiosną 2003 roku zakładało je dziesięć osób. Oficjalnie zaczęły działać 15 czerwca ubiegłego roku, ale kampanię mającą przyciągnąć starych ludzi prowadzą dopiero od lutego 2004 roku. Po kilku miesiącach mają nieco ponad trzydziestu podopiecznych (ale tylko trzech mężczyzn, wdowców — reszta to panie), w tym sześć osób z Domu Pomocy Społecznej przy ul. Konarskiego w Poznaniu.

W ciągu niemal sześćdziesięciu lat działalności Les petits frères des Pauvres musiało sformalizować swoją działalność. Stowarzyszenie udziela dziś pomocy wyłącznie tym, którzy mają ponad 55 lat, są bezdzietni albo dzieci ich nie odwiedzają lub nie mieszkają w okolicy. „Ubogi” nie może także należeć do innych stowarzyszeń. Te ograniczenia obowiązują również polskie oddziały stowarzyszenia. — To mają być ludzie naprawdę samotni — wyjaśnia Filip Jankowski, jeden z wolontariuszy — założycieli.

Wolontariusze mają przydzielonych sobie podopiecznych. Jest grupa około dziesięciu osób w miarę zdrowych, silnych i chcących aktywnie się udzielać. One przychodzą na zajęcia do stowarzyszenia. Jednak większość członków wolontariusze odwiedzają w domach co najmniej raz w tygodniu. — Co robimy? Siedzimy i rozmawiamy — opowiada Agnieszka Antczak. — Choć czasami na tym nie możemy poprzestać i ludziom naprawdę biednym trzeba po prostu pomóc. Coś przynieść, załatwić, gdzieś zaprowadzić.

Pani Jolancie przekazali ładną, funkcjonalną szafę, bo nie miała. Pani Krystynie czasami pomagają dotrzeć do jadalni siostr przy ul. Taczaka na darmową zupę, bo chodzi z trudem. A Francuzom, którzy przyjeżdżają ich uczyć i pod których opieką ciągle pozostają, tłumaczą, że w Polsce jest zbyt dużo zwykłej biedy i nie można kurczowo trzymać się hasła „Kwiaty przed chlebem”.



Wakacje w Achy we Francji.

Na razie ich działalność finansuje macierzyste francuskie stowarzyszenie. Kiedy zaczynali, Francuzi obiecali im, że będą to robić przez dwa lata. Minął już ponad rok. — Na razie nie mamy sponsorów — przyznaje Antczak. — To duży problem, ale też dotychczas niewiele robiliśmy, by ich znaleźć. Ważniejsze było dla nas dotarcie do starszych ludzi.

Francuzi pewnie nie zostawiają ich z dnia na dzień bez pomocy. — Mamy dwa, trzy lata na znalezienie sponsorów i uniezależnienie się — przewiduje pani Agnieszka. — Jeśli nam się nie uda, może to być koniec działalności. Żeby się powiodło, stowarzyszenie musi być bardziej znane. O to teraz będziemy się starać — opowiada.

Wanda

Pani Wanda trafiła do stowarzyszenia przypadkiem. Przechodziła aleją Wielkopolską i zwróciła uwagę na dziwny napis, „mali bracia Ubogich”. „A cóż to może być? — pomyślała. — Sekta jakaś? Mafia? Ładnie się nazywa”.

Weszła zapytać. Trafiła na Agnieszkę Antczak. — Niech pani przyjdzie jutro, mamy walentynki, tylko koniecznie — usłyszała zaproszenie.

Pani Wanda ma krótko obcięte włosy i nosi się z lekka sportowo — popielaty sweter, spodnie w zielono-biało-różową kratę. Ma syna, ale on rzadko się odzywa. Czuli się sama. Niepotrzebna. — Doznałam tu dużo dobra — mówi o stowarzyszeniu. — Magnes, który nas tu przyciąga, to serdeczność młodych ludzi.

Po siedemdziesięciu latach przerwy znów uczy się francuskiego. Średnio jej idzie, ale się nie zraża. Ma nowych znajomych, dzięki stowarzyszeniu przeżyła najwspanialsze wakacje życia. Najważniejsze jest dla niej poczucie, że starzy ludzie nie tylko czerpią ze stowarzyszenia. — My się z nimi, młodymi, uzupełniamy — podkreśla. — Naprawdę współuczestniczymy w tym, co tu się dzieje.

Okno

Za dużym, jasnym oknem otwiera się gęsta zieleń iglaków porastających trawnik przed domem, nad nimi zaś widać jesienne korony kasztanowców rosnących wzdłuż alei Wielkopolskiej. Słońce i przyroda aż wypychają się do pokoju w suterenie.

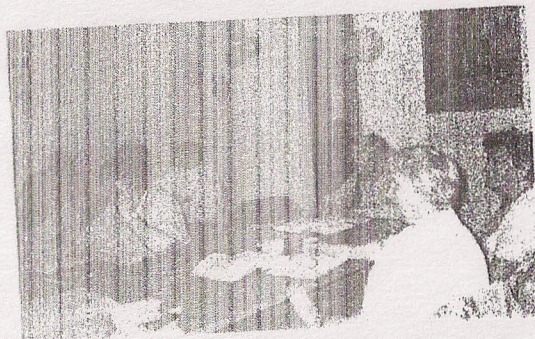
Pani Wanda, choć widzi mnie pierwszy raz w życiu, pokazuje album z wakacji we Francji, ktoś inny częstuje plackiem ze śliwkami, który upiekła pani Ela. Czasu na rozmowy jednak nie ma. Jest czwartek, zaczynają się zajęcia muzyczne. Prowadzi je Jacek Konieczka, szczupły, młody blondyn lat koło dwudziestu. Rozpoczyna studia na Akademii Medycznej i spieszy się na uczelnię. — Przepraszam, że o Edith Piaf będzie krócej niż zwykle — mówi i włącza pierwszą piosenkę.

Naprzeciw niego siedzi siedem, osiem pań w wieku od 60 do 80 lat. Co rusz przerywają prelegentowi. Spierają się o życie Piaf. O jej wiarę. Zastanawiają się, kim była, w czym tkwi tajemnica jej głosu. Śmieją się, jedzą placek, rozmawiają. Piaf jest tematem — istotą jest spotkanie.

Następne zajęcia we wtorek — lekcja języka francuskiego. W piątki są „Kraje świata” — opowiadają sobie o miejscach, w których nie byli. Wkrótce odbywać się będą spotkania poetyckie prowadzone przez harcerki, planowany jest brydż. A już w najbliższą sobotę wielka wycieczka tramwajowa po Poznaniu!

W soboty spotykają się co dwa tygodnie. W zoo, w Ogrodzie Botanicznym, na spacerze w Parku Solackim, w kinie. Teatr Wielki dał im bilety na cztery swoje przedstawienia w sezonie. Średnio dwa razy w miesiącu są duże nadprogramowe spotkania. Każdy pretekst jest dobrą okazją — w swoich trzech pokojach przy alei Wielkopolskiej obchodzili walen-

Nauka języka francuskiego.



tynki, Dzień Kobiet, Wielkanoc. Czasem zapraszają jakiegoś specjalistę. Ostatnio była pani neurolog, która opowiadała o chorobach starości: Parkinsonie i Alzheimerze. Jedna z podopiecznych chce zrozumieć współczesne malarstwo, więc pewnie niedługo zaproszą historyka sztuki.

Jackowi Konieczce nie udaje się skończyć tematu. Umawiają się, że Piaf poświęcone będą także następne zajęcia muzyczne. Panie wychodzą. Teraz do biura wpadają inni wolontariusze, by ostatecznie załatwić sprawę autokaru na grzybobranie.

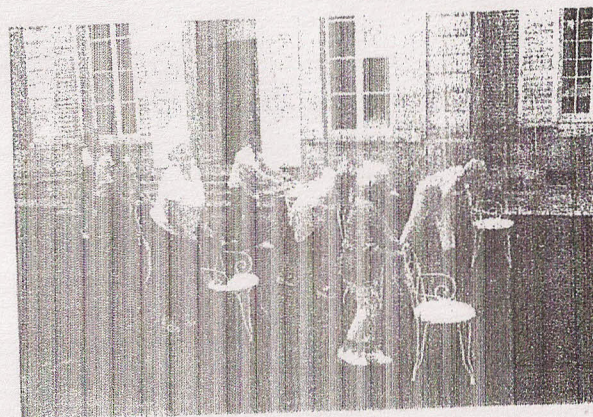
Filip

Wysoki, małomówny i ciepło się uśmiechający chłopak podkreśla, że starsi ludzie mają silną potrzebę mówienia. Trzeba ich wysłuchać. To bardzo ważne.

Nazywa się Filip Jankowski. — Są wolontariuszki, które pomagają im w problemach psychologicznych, w depresjach, które często dotyczą ludzi starych. Ja wolę ich rozweselać, dać radość, uśmiech — opowiada. — Najbardziej lubię słuchać ich opowieści z czasów wojny.

Filip studiuje zarządzanie i marketing na Politechnice Poznańskiej. We Francji jako wolontariusz Les petits frères des Pauvres spędził już kilka miesięcy. W organizację poznańskiego oddziału stowarzyszenia włączył się tym chętniej, że tworzył organizację od podstaw. — To doświadczenie bardzo przydało mi się na studiach — mówi.

Nie tylko to jest dla niego cenne. Bycie wolontariuszem to szkoła dojrzałości i odpowiedzialności. Kiedy się jest ze starszymi ludźmi na wa-



Wakacje w Achy we Francji.

kacjach, to trzeba być jednocześnie opiekunem, kuchcikim, kelnerem, tłumaczem, kierowcą, tancerzem i mocnym facetem, który w każdych warunkach da sobie radę z wózkiem inwalidzkim.

Między pokoleniami

Dlaczego młodzi ludzie poświęcają swój czas ludziom starym, często niedołężnym, od których dzieli ich przepaść pokoleniowa? W przeciwieństwie do wolontariuszy związanych z Kościołem nie robią tego z pobudek religijnych. Nie wszyscy są wierzący.

— To potrzeba bycia potrzebnym — wyjaśnia Agnieszka Antczak. — Możemy się dużo nauczyć z doświadczeń starszych ludzi — analizuje Filip.

Czy tak myślą pozostali? Dziesiątka, która ma za sobą doświadczenia z Francji i która zakładała stowarzyszenie w Poznaniu — to już mniejszość, choć decydująca, poznańskich „małych braci Ubogich”. Dziś jest ich już czterdziestu, np. studenci psychologii czy pedagogiki, którzy przyszli na staż i zostali, bo im się spodobało.

Przeciętny wolontariusz stowarzyszenia ma dwadzieścia lat i jest studentem (działa tu także kilku licealistów i parę osób już pracujących). To raczej dziewczyna, choć jest również kilku wiernych i mocno zaangażowanych w ruch chłopaków. Głos ma ciepły, podobnie podejście do dru-

| ANDRZEJ NIZIOLEK

giego człowieka. Nie powinien unikać dotyku — rzeczy dla starych, samotnych ludzi bardzo ważnej.

Oczywiście, było już także kilka porażek. Parę osób początkowo bardzo się zapaliło do wolontariatu, a potem się z niego wycofało. Nie wytrzymywali emocjonalnie. Bali się absorbującego zaangażowania, odwiedzania co tydzień jakiejś osoby.

Z bycia razem korzystają obie strony — twierdzą zgodnie starzy i młodzi. To rzadki dziś w atomizującym się społeczeństwie przykład, kiedy międzypokoleniowa więź tworzy się naprawdę. W międzynarodowej federacji stowarzyszeń *Les petits frères des Pauvres* to jednak tylko specyfika polska. We Francji brak wolontariuszy, ale wśród tych, którzy działają, są ludzie i młodzi, i dojrzały. Z kolei w Irlandii wolontariusze mają przeważnie koło sześćdziesięciu lat. Nigdzie indziej nie jest tak, jak w Polsce — żeby bardzo młodzi zajmowali się starymi i bardzo starymi.

Agnieszka

Agnieszka Antczak ma dar. Emanuje serdecznością, ciepłem, natychmiast wzbudza zaufanie. Toteż panie mówią do niej i o niej: „Kochana pani Agnieszka...”, „Gdyby nie pani Agnieszka...”, „Pani Agnieszka to serce...”.

Rok temu skończyła studia romanistyczne. Jest jedną z dwóch osób zatrudnionych w stowarzyszeniu. Małgosia, zajmuje się marketingiem i finansami. Agnieszka jest „specjalistą od spraw rekrutacji i koordynacji pracy”. Co oznacza, że to ona jest pierwszą osobą, z którą stykają się ludzie przychodzący do „małych braci Ubogich”. Rola idealna dla człowieka takiego, jak ona.

— Spelniam się tu — mówi. — Uwielbiam ludzi starych. Widzę w nich dużo pięknych cech i nieraz lepiej się z nimi rozumiem niż z ludźmi z mojego pokolenia. A zaczęło się od tego, że po śmierci babci miałam potrzebę odnalezienia kogoś takiego, jak ona — opowiada.

Dużo satysfakcji daje jej np. to, że może zawieźć jedną przyjaciółkę do drugiej, by po kilku latach wreszcie mogły się zobaczyć. I to, że spotyka

ciekawych, fascynujących ludzi. — Mamy piękną ideę, plany i dużo wiary w to, co robimy — przyznaje.

Starość to inny świat, wart poznania. W tych ludziach, często po ciężkich przeżyciach, widzi wiele optymizmu, radości. Zawsze dużo narzekała, teraz dzięki nim nabrała dystansu do własnych problemów. — Starość jest nieunikniona, prędzej czy później nas czeka — mówi. — Ludzie starzy i ich życie nas dotyczą.

Wakacje

Pojechali na nie we wrześniu. Niektórzy pierwszy raz w życiu lecieli samolotem. Spędzili dwa tygodnie w pałacu w Achy, w jednym z dwudziestu domów francuskiego stowarzyszenia. Każdy zapłacił jedną czwartą swojej miesięcznej emerytury, resztę pokrywali Francuzi. Wrócili zachwyceni — i Francją, i polskimi „małymi braćmi”. Wycieczkami do Luwru, katedrami, zamkami, ulicami. Wyprawą nad Morze Północne. Komfortowymi pokojami. Pięknym parkiem. Piknikami z koszami pełnymi prowiantu. Wspólnymi śpiewami. Tańcami, podczas których pan Tadeusz — jedyny mężczyzna w grupie — był rozrywany przez panie, a chłopcy tańczyli z paniami na wózkach. Niezwykłymi pomysłami dziewczyn, które pewnego dnia urządziły... salon kosmetyczny. Francuskimi przyjaciółkami, które nawiązali — bo członkowie *Les petits frères des Pauvres* dołączyli do Polaków trzy starsze Francuzki polskiego pochodzenia i dwie wolontariuszki. Ledwie wrócili do Polski, już mieli telefony, czy szczęśliwie dojechali.

Wspaniałe wakacje dla starszych — dla młodych oznaczały duży trud, dużą odpowiedzialność, której nie było jak odreagować. — Oni szli spać, a my do północy podsumowywaliśmy miniony dzień i planowaliśmy następny. A o szóstej rano trzeba było wstawać, by pomóc w przygotowaniu śniadania — opowiada Filip Jankowski.

Starsi ludzie nie spodziewali się przeżyć jeszcze coś takiego. — Troska tych młodych ludzi o nas to rzecz nie z tej ziemi — mówi pani Bronisława. — A w Polsce ledwie przyjeżdżam, dowiaduję się, że siedemnastolatek zlecił zamordowanie swojej babci... To jest młodzież i to jest młodzież.

Marta

— Opatrzność Boska czuwa nad nami — mówi pani Marta. — Prawda, pani Agnieszko?

— Tak.

Pani Marta, drobna, krucha kobieta jest entuzjastką. Rekordzistką optymizmu. To działa i jej uśmiech udziela się innym.

— Osiemdziesiąt lat to okres stagnacji, a tu... Nie mogłam uwierzyć — zostałam wciągnięta w rytm, dodano mi sił. Pada deszcz, a ja mam ochotę, bo dziś jest spotkanie, co za mobilizacja — opowiada mocnym, donośnym głosem. — Wielu z nas, od kiedy tu przychodzi, czuje się lepiej, zdrowiej. Myśmymy się uzdrowili przez radość, a nie dzięki lekarzom czy pigułkom. Radość to podstawa.

Przez 30 lat chodziła po górach z plecakiem, nie umiała bez nich żyć. Teraz nie potrafi już żyć bez spotkań w stowarzyszeniu. — Tu się dzieje wielka praca między młodymi i starymi — uważa. — Cały czas. Młodzi są ofiarni, roztropni, mądrzy, ale to od nas, ludzi starych, od naszego uśmiechu i gestu dużo zależy. Musimy dodawać im sił.

Dopiero zaczynają

W listopadzie „mali bracia Ubogich” przeprowadzają się. Rezygnują z dużego okna z widokiem na ogród przy alci Wielkopolskiej na rzecz kilku kamienicznych okien z widokiem na ruchliwą ulicę. W dotychczasowej siedzibie może jest ładnie, ale nieekonomicznie (mało skuteczne ogrzewanie elektryczne) i daleko dla starszych członków. Teraz — jeśli porozumieją się z właścicielem — będą przy ul. Dąbrowskiego 60, niedaleko skrzyżowania z ul. Kościelną. W podobnej wielkości dwupokojowym mieszkaniu (duża sala spotkań i biuro) na pierwszym piętrze — ale z windą.

Młodzi „mali bracia” wierzą, że w nowej siedzibie przybędzie im podopiecznych. — Nasze możliwości opieki nad ludźmi starymi są znacznie większe niż te trzydzieści osób, które mamy — zapewnia Filip Jankowski. — Największą przeszkodą jest dotarcie do nich z informacją, że je-

steśmy, działamy. Ludzie starsi są zamknięci, nieufni, boją się oszustów. Są ostrzegani przed sektami.

— Działamy na zasadzie łańcuszka: koleżanka przyprowadzi koleżankę — dodaje Antczak. — Ale mamy świadomość, że do wielu ludzi, którzy potrzebowaliby naszej pomocy, nie docieramy.

Ostatnio stowarzyszenie zintensyfikowało poszukiwanie nowych podopiecznych. Wycieczka tramwajowa, z której tak bardzo cieszyły się panie, była także akcją promocyjną. Wynajęty zabytkowy tramwaj jeździł wokół Poznania obwieszony niebieskimi i zielonymi balonikami — barwami stowarzyszenia. Na przystankach młodzi wolontariusze wręczali czekającym, głównie ludziom starszym, ulotki z informacją o stowarzyszeniu.

— Dopiero zaczynamy działać — odgrają się młodzi. — Jeszcze nie jesteśmy znani. Ale mamy entuzjazm...

Im się chce. W końcu nie każdy potrzebuje, by go glaskano. Niektórzy, na szczęście, chcą także glaskać.

ANDRZEJ NIZIOLEK ur. 1963, absolwent kulturoznawstwa na UAM, dziennikarz, interesuje się historią Żydów poznańskich, a jego pasją jest odtwarzanie biografii zwykłych ludzi, żonaty, ma dwóch synów, mieszka w Poznaniu.

